№ 14. Warszawa, dnia 26 Marca (7 Kwietnia) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KILKA SŁÓW

o praktycznem zastosowaniu ekonomii politycznej

DLA DZIECI.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

(Dokończenie.)

Nie twierdzę ja bynajmniej ażeby idealne wychowanie zastąpić realnem; taki prąd bowiem gorzkie by tylko owoce egoizmu, oschłości serca i wyplenienia szlachetnych pierwiastków cnoty mógł wyrodzić, sądzę jednak, że większe baczenie na rozwój praktycznej strony życia w wychowaniu dziatek, ochroniłoby młode pokolenie od lekceważenia materyalnej strony przyszłości. Wszczepianie jednak zasad ekonomii politycznej, nawet w najprzystępniejszej formie w umysły dzieci, jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Próbowano tego we Francyi, Niemczech, Anglii, Belgii, a wszystkie używane sposoby okazały się bezskutecznemi. Podręcznik pana Maurycego Blocka uwieńczony przez akademię francuzką, a zastosowany do pojęć małoletnich uczniów, okazał się również niepraktycznym w wykładzie. Dziecię z natury swej czułe, tkliwe, pochopne do pojmowania wrażeń serdecznych, sięganiem w sfery efemeryczne nie zdoła wdrożyć się w objęcie nauki ciężkiej, rutynicznej, pozbawionej żywotnego tętna. Niepowodzenie podało myśl zastosowania metody Freblowskiej, celem uprzystępnienia ogólnych rachunkowych zasad, a mianowicie wykazania czem jest własność, produkcya, odsetki, obrotowy kapitał i tworzenie się jego, jakoteż określenie wartości monet, zamiany ich za pomocą działań dokonywanych przez samychże uczniów i wypływających ztąd dla nich korzyści i tym sposobem powstały w Anglii pierwsze kasy oszczędności, wyłącznie dla dzieci przeznaczone. Rzeczona jednak myśl wyborna w zasadzie, okazała się w skutkach niepraktyczną przez to, iż mogła być dostępną tylko dla klas zamożniejszych; kto nie posiadał bowiem pewnej okrągłej kwoty, nie zdołał z dobrodziejstw oszczędności korzystać; z drugiej zaś strony kasowe manipulacye nie dozwalały przyjmować w depozyt drobiazgowych wkładów. Niedogodności tej zaradzono uproszczeniem systematu wkładowego, tak, że najmniej nawet zamożni ludzie mogli korzystać ze wspomnianego dobrodziejstwa. Początkowy bank tego rodzaju powstał w mieście Greenocku w roku 1837 i odtąd kasy groszowe mnożyły się w całej Anglii, tak że kapitały zapasów w krótkim przeciągu czasu do kilku kroć stu tysięcy funtów sterlingów wzrosły.

Powodzenie to kas groszowych dla ludu podało ideę urządzenia podobnych instytucyi dla dzieci. Pierwszy przykład w wykonaniu tej nader pożytecznej myśli dała Belgia w osobie pana Laurent, profesora prawa cywilnego przy uniwersytecie gandawskim. Rzucone na plenny grunt ziarnko wydało wkrótce owoce; zdrowa i jedyna zasada przyszłości krzewiła się przy wszystkich zakładach naukowych z niezwykłem powodzeniem, tak że przed parą laty w jednej tylko Gandawie, trzynaście tysięcy uczniów posiadało kapitał blizko pół miliona franków wynoszący.

Widząc błogie skutki wspomnionej manipulacyi, Francya jęła naśladować Belgię; z początku jednak dla braku działania wśród grona założycieli, pierwotny projekt upadł w samym zawiązku i dopiero w ostatnich latach pan de Kalarce na mocy polecenia ministra rolnictwa i handlu, wziął się do dzieła. Ekonomista wspomniany na wzór istniejących już w Belgii zakładów, urządził w 32 departamentach półtora tysiąca kas groszowych dla uczniów, do których przystąpiło w krótkim przeciągu czasu 120,000 uczestników. Rząd przychodząc ze swej strony w pomoc tyle pożytecznej i tak praktycznej idei, dozwolił na zawiązanie się towarzystwa czuwającego nad dalszem rozpowszechnieniem się kas oszczędności dla dzieci, a to pod prezydencyą pana Passy, rozszerzyło i udoskonaliło działalność instytucyi, tak że obecnie ogólny stan tejże do nader świetnych dochodzi rezultatów.

Wewnętrzny ustrój kas uczniowskich jest następujący: dzieci składają drobne swoje oszczędności

na ręce nauczyciela, który wpisuje je do księgi kasowej na ten cel ustanowionej i wydaje małym uczestnikom odpowiednie duplikaty. Gdy summa zaoszczędzonych tym sposobem przez dziecko pieniędzy dochodzi do jednego franka, nauczyciel składa takowy do głównej kasy oszczędności, która wydaje na imię ucznia książeczkę. Przekonano się iż posiadanie podobnej książeczki, staje się najdzielniejszym motorem skłaniającym nieletnich uczestników do zaoszczędzenia grosza. Nie marnują oni otrzymywanych od rodziców darów pieniężnych, lecz przyzwyczają się do zachowania ich, a tym samem nabierają wyobrażenia o własności kapitalizowania i rachunkowości, przywykają stopniowo do działań ekonomiki i trzeźwego poglądu na życie, jakoteż na warunki bytu społecznego. Rodzice ich po części biedni i niezamożni robotnicy, patrząc z początku na to, jako na niewinną igraszkę, a ujrzawszy następnie czem się stać może potęga składanego grosza, sami niebawem za przykładem dzieci garną się do oszczędności, a ohydna potwora marnotrawstwa, tyle dotąd szkody przynosząca w ich materyalnem istnieniu, ustępuje miejsca wyrozumowanemu kapitalizowaniu nadetatowych zarobków. W niektórych nawet miejscowościach Francyi, rady municypalne postanowiły, ażeby w szkołach rzemieślniczych elementarnych udzielono po 200 franków nauczycielom w celu użycia tej sumy na zachęcenie dzieci do oszczędzania grosza. Każdy dobry stopień w nauce równa się pewnej drobnej jednostce monety, np. centymowi; po upływie miesiąca nauczyciel oblicza ogół tych stopni i składa z powyżej ustanowionych funduszów tyleż centymów na imię pilnych dzieci do szkolnej kasy, który to zasób w miarę wzrośnięcia onego, przeniesionym zostaje do kas głównych.

Zastanowiwszy się nad tą manipulacyą, pojmiemy z łatwością ile zastosowanie takowej dla naszego ludu stałoby się zbawiennem i pożytecznem w swych skutkach, jak świetne wywarłoby rezultaty w umoralnieniu licznych warstw narodu.

W wyższych także sferach społeczeństwa, ujemna ta strona czuć się daje na każdym kroku, rozsądna oszczędność jest wyśmianą niby wstrętne skąpstwo, a plemienna buta uchodzenia za bogatszego niż się nim jest w istocie, olśniewanie blaskiem nienormalnych wydatków bezmyślnego świata, zagnieździła się w pohopnych do przejmowania postronnych urojeń dzieci od najpierwszych lat ich niemowlęctwa. Patrząc na zbytek kosztem spokojności domowej okupiony, nie wnikają one w potrzeby zastosowania wydatków do dochodów, a dorosłszy idą torem, który im bezwiednie rodzice własną nieopatrznością wskazali. W wychowaniu dzieci baczymy przedewszystkiem na ukształcenie ich umysłowe, staramy się także wpłynąć na rozwinięcie szlachetnych popędów ich serc, zbyt jednak mało zwracamy uwagi na realny kierunek naszych synów i córek. Matematykę która się w mniej ponętnej formie przedstawia młodemu pokoleniu, traktujemy jako odrośl nauki dodatkową, mniejsze znaczenie mającą, nieusiłując nigdy zastosować jej w praktycznym rozwoju. Czas by nam było zapatrując się na zachód, wprowadzić w czyn u samego źródła istnienia człowieka, zamiłowanie oszczędności, a do dokonania tego ustanowienie w naszym kraju wspomnionych kas dla dzieci byłoby najdoskonalszym czynnikiem. Przyzwyczajając małoletnich do szanowania grosza, wyrobiliśmy w nich nieznany dotąd popęd myślenia o jutrze, wnikania w przyszłe a nieprzewidziane potrzeby i tym sposobem następne pokolenie wydałoby z łona swego ludzi zabiegliwych, rozsądnych, dbałych o przyszłość rodzin, pracowników zdolnych w danym razie wywalczyć zagrożony byt społeczeństwa.

Śpij dziecino, śpij!

Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!
Niech złociste marzeń roje,
W chwilach błogiego spoczynku,
Obsiadłszy posłanie twoje,
Dadzą ci spokój mój synku:
Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!

Niechaj posłannik niebieski,
Anioł Stróż z twych modrych oczek,
Zetrze rzewne smutku łezki
I rozpędzi z czoła mroczek:
Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!

Niechaj widmo mar złowieszcze
Nie dokucza ci boleśnie,
A do mnie choć marzysz jeszcze,
Uśmiechnij się nawet we śnie:
Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!

Taką wygłasza piosneczkę,
Matka swej pieszczotce drogiej,
I kołysze kolebeczkę,
Jednostajnym ruchem nogi,
A echo po gaju, lesie,
Dźwięki owej piosnki niesie.

Na zegarze już dwunasta,
Wśród nocnej wybiła ciszy,
Lecz głosu tego niewiasta,
Zajęta dzieckiem nie słyszy;
I bezwiednie niby we śnie,
Wciąż wygłasza swoje pieśnie.

Wreszcie daleko na wschodzie,
Zabłyśnie złota jutrzenka,
Budzi się życie w przyrodzie,
Ptaszek fruwa u okienka,
A ona bez odpoczynku,
Nuci ciągle: Śpij mój synku!

Zalśniły promienie słońca,
Gwarno i ludno na świecie,
Lecz piosenka nie ma końca,
I snem twardym śpi wciąż dziecię
W swej kolebce. Wielki Boże!
Co to wszystko znaczyć może!

Zajrzałem — kolebka pusta,
Nie ma w niej drobnej istotki,
A matki wybladłe usta,
Nucą ciągle śpiew ów słodki:
Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!

Snułem w myśli różne wnioski,
Co znaczyła piosnka owa,
Ale wkrótce ludzie z wioski,
Wyrzekli do mnie te słowa:

Niech jej śpiew nie dziwi pana,
Ta kobieta — obłąkana.

Wątłą dziecinę anieli,
Do nieba zabrali we śnie,
A ona wciąż w pościeli
Pustej, nuci swoje pieśnie:
Śpij dziecino, śpij,
O rozkoszach śnij!

Ludwik Niemojowski

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Od ostatnich wypadków minął tydzień.

Dzień ciemny, wilgotny, dobiega końca. Ciepła niemal upalna pogoda jesieni zmieniła się wjednej chwili, wiatr północny powiał ostry, przenikliwy, odzierając suche drzew szkielety, z bogatej, purpurowo złocistej szaty. Podolska cudna kraina, spowiła się szarym tumanem mgły gęstej, zimnej, osiadającej w grube krople, na balustradzie pałacowych schodów i werendy.

Z południa słonko boże, przedarłszy brudny, zalegający niebiosa całun, próbowało spojrzéć przez chwilę na smutny, błotny padół, lecz z po za szmata gnanej wichrem mgławicy, ukazało twarz tak bladą, że zamiast rozradować ludzkie serca, rzuciło w nie tylko głębszą melancholię, jakby uśmiech konającego człeka, o którym wiemy, że jest ostatnim.

Uśmiechnęło się i zgasło. Z przesłoniętych poszarpaną w łachmanie strzępy oponą chmur przestworów, wieczór słotny, zimowy, zstępuje na ziemię zwolna, roztaczając czarne skrzydła.

W bursztynowym buduarze, niewiele się wie o dżdżu i chłodzie. Na szerokim kominku z czarnego marmuru, rozpalono suty ogień, którego ruchome blaski, ślizgając się po żółtym pluszu i atłasie, napełniają wykwintne to zacisze, ciepłem i weselem.

Pod jednem z okien, przy pięknym stole z chińskiej laki, korzystając z resztek dnia krótkiego, pracuje pilnie panna Anna. Na jednej jej rączce założona paleta, druga uzbrojona pędzlem, kopjuje raz jeszcze na wielki alabastrowy wazon, znaną kopię: „Córki Kalifa", umieszczoną na stalugach, po drugiej stronie stoła.

Dokoła panuje najdoskonalsza cisza, słychać syk płomieni w kominku i przeciągły jęk wiatru, cisnącego się uparcie, do kryształowej szyby.

Kosztowny zegar rzeźbiony artystycznie w bryle malachitu, wydzwania czwartą. Dziewczynka strząsa włosy opadłe na czoło, rzuca pędzel i zdejmuje paletę.

— Coś jest — przemawia tajemniczo — ale co? tego nie wiem. Ojciec bez humoru... mama smutna... Antolka miewa często oczy zaczerwienione. Coś jest, widzę to, czuję i nie mogę dojść niczego. A jednak, dojdę. Czekajcie moi państwo! nie chcecie mi powiedzieć? chcecie martwić się beze-

mnie? Otóż właśnie, wszystko to napróżno! Dojdę sama całej prawdy, w dobry czy zły sposób, wprost czy podstępem! dojdę. W całym domu atmosfera grobowa! wszystkie fizyognomie pogrzebowe, spoglądają na mnie niekiedy, jak gdybym była już nieboszczykiem! Boże, jakże nienawidzę wszelkich tajemnic! Zdaje mi się, że mogłabym poprostu z tego umrzéć. W tem miejscu kolor żółty, zanadto jaskrawy. Ee, nic z tego, nie potrafię dobrze wymalować tej draperyi. Ten załom fałdy, twardy... czyste drewno. Ta noga. Ah!... (westchnienie). Godzę się z myślą, że nie będę nigdy wielką artystką! Jak mówiła moja droga, galicyjska ciocia: potrzeba mi Włoch! wzorów! mistrzy! Sztuka rodzi się z płomiennych żarów południowego słońca! z szafiru nieba i błękitu fal Adryatyku. Cudownie! Ciekawa rzecz, coby mi tu pomogły fale i błękity? Szafir szafirem, Endymionek dudkiem, a bohomaz bohomazem. Jednak, że żywy model przydałby mi się naprawdę. Muszę urządzić sobie jakąś draperyę, gdyż inaczej z temi fałdami nic nie poradzę. Draperyi! za jakąbądź cenę, draperyi! Już ją mam, zrobi się to z mego jedwabnego szlafroczka, maleńka niedokładność, że jest on różowy, lecz nie potrafię zmienić go w żółty, w żaden sposób. Mniejsza o barwę... chodzi o kontury, o światła i cienie. W najgorszym razie, ubierze się córę wschodu różowo. Drobny anachronizm! lecz ktoby zważał na takie rzeczy, wobec tryskającej z mej duszy powodzi natchnienia.

Wielka artystka zrywa się z miejsca, odpycha krzesło z łoskotem, pędząc jak wicher do przyległych pokoi.

Gwałtowny wylew olbrzymiego natchnienia, wstrzymuje przecież w połowie drogi, wcale prozaiczny, niespodziewany wypadek. W progu drzwi, porzucony niedbale, spoczywa na posadzce wpółrozwiązany węzeł, grubego jedwabnego sznura, przytrzymującego w górze portyerę i w miękkie te, lecz silne sidła, zaplątują najfatalniej obcas biegnącej. Rozlega się trzask lekki i ciężka brokatelowa firanka spada na głowę dziewczynki, zakrywając w całej, dość znacznej zresztą długości jej osobę.

Smukła postać, spowinięta w miękkie draperye, stoi chwilę na miejscu skamieniała, poczem w fałdach materyi daje się słyszéć wybuch, szalonego śmiechu.

— Zagłoba zdobył sztandar! — woła wesoły, dźwięczny głosik z pod nakrycia.

Druga kaskada rozkosznego chichotu i z żółtych zwoi dobywa się nóżka, rączka, potem krucza, stargana główka z parą błyszczących jak węgle, żywych oczów.

Artystka kroczy do zwierciadła z portyerą na głowie, wlokąc po za sobą kilkołokciowy ogon jedwabnej makaty.

— Wielkie bogi! — rzuca okrzyk w powietrzu, pod sklepienie mozaikowego sufitu — oto draperya! złocista draperya! Córo Kalifa, geniusze opiekują się twą garderobą! Będziesz miała szatę żółtą! stanowczo żółtą! przysięgam ci na tę paletę, pędzel, wielki mój talent i wielką w przyszłości chwałę.

Stojąc przed lustrem bohaterka nasza układa na swej główce coś w rodzaju turbana, od którego spuszczają się ku ziemi artystycznie upięte festony i musimy przyznać jej to sumiennie, że wygląda w tym stroju prześlicznie.

Nie wiemy, czy dziewczynka, doszła sama do tego spostrzeżenia? lecz nagle, przypomina jej się sławna jakaś tancerka z paryzkiego baletu i z jednej sztuki bez namysłu, przerzuca się w drugą.

Chwyciwszy bębenek od haftu siostry, zamienia go w jednej chwili w tamburino i zapominając o malarstwie, wykonuje na kobiercu fantastyczny taniec własnej kompozycyi, ze zwinnością jaskółki i lekkością motyla.

Swawolne pląsy przerywa turkot, przejeżdżającego pod oknem pojazdu.

Urocza bajadera, zarumieniona, zdyszana, biegnie do szyby, spoglądając na dół.

Przed gankiem zatrzymuje się właśnie wolant, którym przed południem wyjechał hrabia w objazd po przyległych folwarkach. Zmokły, przesiąkły wilgocią gospodarz, wysiadłszy z powozu oddaje konie służącemu, z którym stojąc na schodach, rozmawia dość długo.

Patrzącej z góry pannie Annie, zdaje się, że twarz ojca jest smutną, bardzo smutną.

— Mój Boże, jaki on poważny! jaki on wygląda strapiony! i nie mogę nic uczynić, by go pocieszyć — przemawia do siebie z uczuciem gorzkiego wyrzutu sumienia. — Nie wiem wprawdzie, co mu dolega, lecz powinnam dzielić przynajmniej smutek mej rodziny. Prawda, ślicznie podzielam! Szaleję tu, podczas gdy oni mają widocznie, ciężkie jakieś zmartwienia. Jestem niegodziwą, złą, wstydzę się sama za swe dzieciństwo, nie umiem nawet odkryć co ich gnębi. Ale odkryję, dowiem się właśnie w tej chwili, gdy nadarza się sposobna pora!

Czyniąc to piękne postanowienie, dziewczynka zrzuca z siebie fantastyczny swój kostium, ciska w kąt tamburino i przygładziwszy stargane włosy, zbiega na dolne piętro.

W niższej części pałacu nie zapalono jeszcze światła. W przyciemnionych cieniem drzew parku i ciężkiemi firankami salonach, panuje półmrok gęsty, sprzyjający zupełnie zamiarom naszej bohaterki. Postanowiwszy zdobyć tajemnicę własnej rodziny, dziewczynka dąży do celu najprostszemi środkami. Na palcach, bez szmeru, wkrada się na pokoje, kierując pocichu w stronę znanego nam z pierwszego rozdziału saloniku, gdzie zbierają się zwykle wszyscy domownicy na codzienne posiedzenia.

Przez uchylone drzwi narożnego pokoju, czerwonawy strumień światła, pada ukośnie na posadzkę przyległego salonu i stająca w cieniu dziewczynka może zajrzéć wygodnie do wnętrza, nie zdradzając swej obecności.

Przed kominkiem w blaskach płonącego ogniska, na wygodnej sofce przy stoliku założonym wykwintnemi przyborami do roboty, siedzi hrabina ze starszą swą córką. Pracowały przed chwilą pilnie nad wielkim kwadratem kobierca, przeznaczonego na ofiarę do parafialnego kościołka, aż póki zapadający coraz wieczór, nie zmusił ich do porzucenia igły. Obecnie milczą obie, patrząc smętnie w buchające snopami iskier trzaskające żywo płomienie.

Ukryta w cieniu wpółodemkniętych drzwi dziewczynka, obejmuje okiem piękny ten obrazek i ból silny ściska jej serduszko.

— Jakie obie smutne, jakie smutne — szepcze sobie cichutko. — W tym pokoju, od sufitu do podłogi panuje melancholia, tak silna, że czuję iż mnie nawet bierze wswe objęcia, mnie nawet. Wyglądają tak nieszczęśliwie, że na płacz się zbiera patrząc na te zbolałe twarze.

Od czasu istotnie, gdyśmy jej nie widzieli, piękne oblicze hrabiny pobladło, nawet zeszczuplało, fizyognomia zaś panny Antoniny, przybrała niezwykły w niej wyraz cierpkiej powagi.

Głębokie milczenie przerywa po chwili lekkie westchnienie hrabiny.

— Spodziewałam się tyle po przyjeździe tych ludzi, tak nim się cieszyłam... i oto, co mi zeń pozostało! — wymawia zwolna z goryczą.

— Mowa o drogiej mej cioci i lubym jej Endymionie — czyni sobie uwagę słuchająca dziewczynka. — Sądziłam, że będziemy mogli odetchnąć już po ich odjeździe, tymczasem przekonuję się niestety, iż oni to po swem zniknięciu, zostawili w domu naszym za sobą żałobną trosk smugę.

— Szczęście, że to dziecko nie domyśla się niczego — ciągnie dalej smutno blada kobieta.

Oczy dziewczynki zapalają się płomiennym blaskiem.

— Ah, właśnie — odpowiada w głębi ducha. — Zaraz to dziecko dowie się o co chodzi. Dziecko i dziecko! To okropne! czuję, że wkrótce zbrzydnie mi świat do reszty, jeśli wszyscy uwezmą się traktować mnie w podobnie upokarzający sposób.

W tej chwili drzwi naprzeciw otwierają się ścicha i do saloniku wchodzi pan domu.

Zziębły, przejęty wilgocią słotnego wieczora, zbliża się szybko do kominka, siadając na krześle, które sobie przysuwa do boku żony.

— Ohydna pogoda! — przemawia, opierając się z rozkoszą na miękkich poduszkach. — Żadne najcieplejsze okrycie, nie jest w stanie osłonić człowieka od tej lodowej, przenikliwej mgławicy, przykrzejszej od najostrzejszego mrozu.

— Szkaradne powietrze, czułam to nawet w zamkniętej karecie — potwierdza łagodnie hrabina.

— Wyjeżdżałaś, Heleno?

— Na chwilkę. Potrzebowałam poradzić się proboszcza, co do wykończenia tego dywanu.

W głosie kobiety słychać mimowiednie może smutne dźwięki, co zwraca uwagę męża, który ujmując dłoń jej, spogląda badawczo w piękne, ciemne oczy.

— Jesteś smutna, płakałaś znowu Heleno? — mówi z wyrzutem łagodnym, podnosząc do ust rękę żony. — Wyjechałaś z domu i coś tam dotkło cię boleśnie?

— Miałam długą, szczerą rozmowę z zacnym naszym księdzem — przyciszonym głosem odpowiada kobieta. — Nic zresztą nowego... ciągle ta sama jeszcze historya.

Gwałtownym ruchem hrabia odrzuca głowę na poduszki krzesła, szarpiąc brodę z silnem rozdrażnieniem.

— Prosiłem was, byście przestały myśléć o tej nikczemnej bajce. Podobnie nędzne produkcye ludzkiej głupoty nie powinny nas dosięgać, a tem więcej ranić.

Melancholiczny uśmiech błądzi po ustach hrabiny.

— Możemy nimi gardzić, drogi przyjacielu, lecz nie sposób słuchać spokojnie, gdy świat mówi... że nasze dobre, niewinne dziecko... ma romans z własnym stajennym, i że wypadek z koniem w jarze, był tylko zręcznem upozorowaniem ich schadzki.

Ostatnie słowa biedna kobieta wymawia z trudnością, przyczem na blade jej policzki, występują dwie palące, płomieniste plamy.

Szkoda wielka, że stroskana matka, nie widzi w tej chwili niemej, odgrywającej się w kątku za drzwiami sceny, która zdołałaby z pewnością rozwiać choć w części smutek, zalegający ściany szafirowego saloniku.

Zasunięta w cień dziewczynka, opuszcza nagle

ręce gestem zdumienia, zaprawionego właściwym jej akcentem silnie humorystycznym.

— Bagatela! tylko tyle? — przemawia do siebie z komicznym ruchem ślicznej główki. — Mam romans z Janem!... Romans... Co za obrzydliwe słowo! jestem przekonana, że wymyśliła je jakaś rozwzdychana rozwódka. Ja i romans... Zaraz... muszę skoncentrować wszystkie siły mej wyobraźni, by sobie wystawić siebie z romansem... Miałam schadzkę z Janem... Jan i schadzka! druga dobrana para! Czemuż nie mogłam o stujęzyczny smoku powiatowej opinii, ukazać ci nas oboje, w głębi łona cichych puszcz czarnych!... Czuję, iż niekiedy przychodzą na mnie istotnie, błyski krasomówczych zdolności... Z jaką powagą eskortował mnie przez egipskie cienie: Idź pani naprzód... nie zatrzymuj się... proszę zważać na gałęzie i korzenie... brakło tylko: użyj pani chustki do nosa, gdy zajdzie tego potrzeba. Boże, jakże ci ludzie mają bujną imaginacyę i jak świat ten, który pesymistom podoba się niesłusznie zwać prozaicznym, posiada wiele, wiele poezyi.

Doszedłszy do tak filozoficznie pomyślanego zdania, bohaterka nasza, nie może zapanować nad tłumioną chętką do śmiechu, co sprawia, że nie podobna jej dłużej korzystać z dobroczynnych, otaczających ją cieni. Pojmując stanowczość chwili, dziewczynka jednym energicznym ruchem nóżki otwiera drzwi szeroko, wchodząc odważnie do pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Rok upłynął między pierwszym aktem a drugim. W pięknej willi w okolicach Paryża, spotykamy Duvala; rozmawia z młodą kobietą, w której poznajemy córkę pana Bourganeuf. To druga jego żona. Rozwiedziony, poprowadził do ołtarza śliczną Gabryellę, kocha ją, kochany nawzajem. W domu cisza, żadna *belmere* nie mąci spokojności. Ale młoda żonka, trochę ciekawa i niedyskretna, wypytuje raz wraz o Dyanę, czy mąż ją bardzo kochał? czy nie ładniejsza była od niej. Duval sam nie wie co na to odpowiedzieć.

Zachodzi powóz, młoda para wyjeżdża na chwilę.

Druga żona nie ma wcale matki, to największa jej zaleta. Ale gdzież się podział jej ojciec? Po ślubie córki wyjechał w Pireneje do Luchon. Ubiegło kilka miesięcy i nic o nim nie słychać. Nie odpowiada nawet na listy, zniknął jak kamień w wodzie. Willa w której małżonkowie zamieszkali, jego jest własnością, urządzili mu śliczny pokój i czemuż nie powraca?

Tu otwierają się drzwi w głębi: pan Bourganeuf zagląda niespokojnie, spostrzega w salonie pokojówkę.

— Czy są państwo w domu? — zapytuje półgłosem.

— Wyjechali przed chwilą.

Bourganeuf daje znak osobom, które za nim pozostały. Wchodzi pani Bonivard, a za nią Dyana.

— Ależ mój zięciu! — zagadnie matka; słowa te rozjaśniają rzecz całą. Bourganeuf ożenił się, nie uprzedziwszy o tem córki. Pojął w małżeństwo rozwódkę, w mniemaniu, że jest wdową. Nazwisko Duval pospolite w Paryżu, nie zwróciło jego uwagi. Przybywa zatem z żoną do zięcia, który w nowej *belmerze* miał poznać pierwszą żonę swoją.

Ztąd wynika szereg scen najkomiczniejszych. W pierwszej Bourganeuf spotyka się z córką i zięciem. Przysposabia ich zwolna, nie śmie wprost przystąpić do rzeczy.

— Pisaliśmy do Luchon — rzecze Duval — nie odpisałeś nam ojcze.

— Byłem naówczas w Nicei. Ah! Nicea, moje dzieci, cóż to za cudne miasto! Pełno słońca i kwiatów! Tam wysłano list za mną.

— Czemuż nie odpisałeś, ojcze?

— Nim przyszedł, byłem już w Neapolu. Ah! Neapol, cóż to za miejsce, morze, Wezuwiusz, a jaki wyborny makaron. Wysłano tam list, ale byłem już w Wenecyi. Ah! cudownaż ta Wenecya!

Zakłopotany, odwłóczy jak może ostateczne wyznanie. W końcu jednak zdobywa się na odwagę, mówi że się ożenił.

— Co temu to nie uwierzę — zawoła Duval ze śmiechem. — Dajże pokój, ojcze, tem żartom.

— Wcale nie żarty — odpowie Bourganeuf i przysięga, że mówi szczerą prawdę. Ślub odbył się w kościele i przed merem, ale nieznośna *belmera*, nie opuszcza go ani na chwilę, nie może zamienić słówka, sam na sam z młodą żoną.

Duval przerażony, lecz jak na to zaradzić? Tak był rad, że wziął żonę bez matki, aż tu spada na kark macocha! Ależ ta, jak zaręcza teść pełna dobroci i słodyczy.

Odtąd następują coraz nowe spotkania, jedno komiczniejsze od drugiego. Pani Bonivard wychodzi z bocznego pokoju, spotyka się oko w oko z Gabryelą Duval.

— Przepraszam panią — rzecze stara baletniczka — że sama się przedstawiam, lecz i ja należę do domu.

— Ha! więc to pani! — zagadnie Gabryela, pewna, że z nią ożenił się jej ojciec.

— Tak ja sama — odpowie pani Bonivard.

Biedny ojciec! pomyśli Gabryela, patrząc na twarz jej pomalowaną, pełną zmarszczek!

Champeaux tymczasem powraca z dalekiej podróży na drugą świata półkulę; odbył ją, aby zapomnieć o Dyanie, żonie przyjaciela. Wchodzi do salonu, zastaje w nim tylko służącą, pyta niespokojny.

— Jak się ma pani Duval?

— Zdrowa zupełnie.

— A matka?

— Matka? oddawna już nie żyje!

— Doprawdy? tem lepiej.

I otóż Champeaux, przekonany że umarła pani Bonivard. Wtem spostrzega wchodzącą Gabryelę, bierze ją za siostrę Dyany.

Wreszcie komizm najwyższego dochodzi stopnia, kiedy Duval spotyka się oko w oko z pierwszą żoną i straszną jej matką.

Biadaż mi, zawoła; rozwiodłem się aby nie mieć *belmery*, a dziś mam ich dwie razem!

Następuje akt trzeci. Champeaux przekonany, że pani Bonivard umarła, że Duval jest zawsze mężem ładnej Dyany a Gabryela młodszą jej siostrą, zamierza starać się o rękę panienki. Oświadcza swe chęci przed Duvalem. Ten znów, namawia go na związek z Dyaną; pragnie tym sposobem, uwolnić od niej i teścia i samego siebie.

Nic zabawniejszego jak ten dyalog, jeden drugiego nic a nic nie rozumie, publiczność tymczasem pojmuje wybornie *qui pro quo*. Champeaux sądzi, że przyjaciel ma pomieszanie zmysłów. Spotyka znowu Gabryelę, która nie domyśla się, że nowa macocha była pierwszą żoną jej męża.

Pyta ją Champeaux czy dawno Duval cierpi umysłową chorobę?

— Umysłową chorobę? — zawoła młoda kobieta — ależ on wcale nie chory! Patrz pan, oto znalazłam w jego papierach śliczną piosenkę dla mnie skomponowaną. Nic o tem nie wiedziałam.

Champeaux siada do fortepianu, Gabryela śpiewa z nim razem i otóż z przyległego pokoju, przyśpiewuje ktoś trzeci, to głos młodej pani Bourganeuf, z ogrodu tymczasem dobiega śpiew pani Bonivard.

— Jakto? — zawoła Gabryela — więc tu wszyscy znają tę pieśń i muzykę i słowa!

Wszyscy ją znają w rzeczy samej, jakoż przy ostatniej zwrotce, znajdują się wszyscy na scenie, śpiewając kompozycyą Duvala. Zagadka rozwiązana.

Nie na tem jednak ma się rzecz zakończyć. Miałżeby biedny Duval pozostać pomiędzy dwoma *belmerami?* Tu młodzi autorowie obmyślili najkomiczniejszą kompozycyą.

Policzek rozwiązał małżeństwo Dyany z Duvalem. Gdyby można przyprowadzić Bourganeufa do spoliczkowania młodej żony; Champeaux mógłby zaślubić Dyanę.

— Czy pani wiesz — poszepnie Duval do ucha pani Bonivard — Champeaux ma sześćdziesiąt tysięcy dochodu, skończył zaledwie rok trzydziesty.

I usiłuje skłócić ją z Bourganeufem. Nie wiele trzeba na to, burza krąży w powietrzu.

— Bądź gotowa — szepnie matka do córki — stój przy mnie. On podniesie wnet rękę, niech policzek spadnie na ciebie.

I groźno przystępuje do zięcia, zowie go nikczemnikiem, rzuca mu w oczy obelgę za obelgą. Bourganeuf odpowiada po brutalsku, podnosi już rękę, żona nadstawia twarz, niestety nadaremnie!

— Otóż nie! — zawoła Bourganeuf, spuszczając na dół rękę.

Stara baletniczka nie daje przecież za wygraną, przypuszcza nowy atak, ściąga policzek na twarz córki. I otóż powód do nowego rozwodu.

Champeaux uwiezie młodą żonę do Brazylii, tam pani Bonivard wywierać może zły humor, na biednych negrach, w plantacyi trzeciego zięcia. Bourganeuf żyć będzie spokojnie, w willi swej obok córki. Duval szczęśliwy z młodą żoną, nie będzie miał *belmery!*

Wesoła ta sztuka, rozśmieszyła cały Paryż. Mamy w tem dowód, że bez skandalicznych scen i gorszących sytuacyi, można jeszcze zadowolić publiczność.

(Dokończenie nastąpi.)

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

W Marca pomimo najpilniejszej roboty, ludzie mieli czas do pogawędki a mur kościelny był ulubionem miejscem schadzek wszystkich wieśniaczek, idących na pole lub wracających z upraną w rzece bielizną.

Tam to Candida gawędząc z kumoszkami zdradziła się nieraz ze swym niepokojem o don Gesualda. Była ona do swego pana bardzo przywiązaną, lecz zamiłowanie ploteczek i podniecona ciekawość brały górę nad przywiązaniem.

Zdawało jej się, że nie powiedziałaby słowa przeciwko niemu, nie uczyniłaby nic coby mogło zaszkodzić jego opinii, a jednak sąsiadki odchodziły od niej zawsze z przekonaniem, że rzeczy źle szły na plebanii i że sługa proboszcza gdyby chciała, miałaby dużo dziwnych do opowiadania historyi.

Od owego morderstwa, wszyscy byli nieprzyjaźnie usposobieni względem don Gesualda.

Człowiek który nie krzyczy, nie łaje i nie trajkocze przy lada okazyi, wydaje się zawsze dziwnym i podejrzanym w oczach włoskiego chłopa.

Mieszkańcy Marca przypominali sobie, że w żyłach księdza płynęła krew odmienna, że pochodził z innej okolicy kraju i że zawsze zbyt żywą przyjaźń okazywał żonie Tassila.

Sąd niedozwolił Melegaremu odwiedzać podsądnej w więzieniu: podejrzewano bowiem kochanka Generosy o współudział w zbrodni. Przytem jego mowa namiętna i nieoględna oburzyła przeciwko niemu sędziów.

Obostrzenie to unieszczęśliwiło go po nad wszelki wyraz; miał poniekąd urazę do wikaryusza z San-Bartolo za to, że jemu dozwolono bywać w więzieniu.

Te czarne węże wszędzie potrafią się wślizgnąć— mówił a jego wstręt do osób duchownych przytłumiony chwilowo przez poszanowanie charakteru i dobrych uczynków don Gesualdo, teraz wybuchnął z całą siłą.

Gdy się zbliżały święta Wielkanocne, Gesualdo miał zawsze bardzo wiele zajęcia. Tego roku gdy zaczął spowiadać swoich parafian, wyznawanie tych małych, pospolitych grzechów, było mu poprostu wstrętnem.

Spowiedź wieśniaków była zawsze jedna i ta sama, nigdy żadnej zmiany ani na złe ani na dobre. Spowiednik słuchał tych wyznań przygnębiony. sercem bolejącem. Czuł pewien niepokój udzielając im rozgrzeszenia: czyż kościół nie mógł się także omylić?

Pierwszy to raz podobne wątpliwości zakłócały jego umysł. Zdawało mu się, że świat cały się przeistoczył, że ziemia usuwała mu się z pod nóg; w jego spojrzeniu, w wychudłych rysach twarzy czytałeś jakby trwożne przeczucia nieszczęścia.

Pewnego wieczora w wielkim tygodniu, zmrok już zapadał gdy człowiek jakiś wszedł do kościoła. Nazywał on się Emil Raffagiolo lecz wszyscy znali go pod przezwiskiem Gizellone co znaczy włóczęga.

U wieśniaków przydomek zastępuje częstokroć właściwe nazwisko i imię. Gizellone od kilku miesięcy służył we młynie za parobka. Był to człowiek może trzydziestoletni z ponurym wyrazem twarzy i małemi, szaremi oczami, w których malowało się istnie zwierzęca przebiegłość i chytrość. Gęsta i bezładnie poplątana czupryna, spadała mu na czoło nadając jego twarzy jeszcze bardziej odstręczający wyraz.

Ubrany był dnia tego w szaty świąteczne. Wszedłszy do kościoła ściągnął z głowy kapelusz który miał z fantazyą włożony na ucho. Nie umiał ani czytać ani pisać a jego pojęcia religijne były bardzo niejasne.

Kościół miał według niego swoją dobrą stronę, wierzył w jego potęgę tak samo jak wierzyłby w jakiś talizman lub zaczarowane ziele. Mniemał że chcąc być zbawionym trzeba było stosować się do niektórych jego przepisów, zresztą można postępować jak się komu podoba.

Wogóle wieśniak włoski nie jest bynajmniej oświecony w kwestyi religijnej. Ksiądz w jego oczach jest tem czem doktor dla dzikich; lecz mając dla niego jakieś zabobonne uszanowanie, w istocie nie szanują go wcale.

Wszedłszy do kościoła Gizellone przystąpił do konfesyonału czyniąc znak krzyża świętego. Chociaż było już późno a Gesualdo czuł się niezmiernie dnia tego znużonym, nie śmiał mu jednak odmówić spowiedzi, nigdy bowiem nie uchylał się od pełnienia swych obowiązków.

Poznawszy parobka przygotowany był na wysłuchanie zwykłego szeregu grzechów jakoto: pijaństwo, oszustwo i nieobyczajność i zawczasu uzbroił się w cierpliwość, gdyż wieśniacy opowiadają rozwlekle i niejasno swe grzechy.

Lecz tak jakoś obojętnie czekał tego wyznania, że aż wyrzucał sobie iż niedostatecznie ceni duszę tego pijaka, która przecież powinna mu być równie drogą jak każda inna.

Gizellone odpowiadał niechętnie na pytania księdza; poszedł do spowiedzi gdyż popychała go do tego czynu jakaś zabobonna trwoga, lecz jednocześnie gniewał się o to samo na siebie i lękał się wyznania które miał uczynić.

Drżał cały a język odmawiał mu posłuszeństwa. Nareszcie niepewnym i stłumionym głosem wyszeptał.

— To ja go zabiłem...

— Kogo—zapytał Gesualdo z przyśpieszonym biciem serca, gdyż odgadł o kim parobek chce mówić.

— Tassa, młynarza, mojego pana — mruknął Gizellone.

I jakby nagle nabrał odwagi, pochylił się do ucha księdza i z pewnym rodzajem okrutnej dumy, zaczął opowiadać z jakiego powodu popełnił ten występek.

— Chciałem jechać do Ameryki — mówił — gdyż mam tam krewnego, który jak mówią robi dobre interesa chociaż nie wiele pracuje i nieraz brała mnie chętka ukraść pieniądze Tassila, lecz bałem się jakoś. Młynarz chował zaraz odebrane dukaty i nie wyjmował ich nigdy, aż gdy miał je zawieść do banku lub płacić za stroje żony, bo na to massę wydawał pieniędzy.

— Okropność — jęknął don Gesualdo.

— W wigilią św. Piotra i Pawła — ciągnął dalej przestępca — młynarz odebrał siedmset franków za dostawę zboża. Widziałem jak zamykał te pieniądze do biurka mówiąc żonie, że nazajutrz odwiezie je do San-Arturo. Wieczorem wykłócił się straszliwie z żoną. Ona go lżyła i groziła mu. Gdy pierwsze kury zapiały podniosłem się ostrożnie chcąc zobaczyć co się w domu dzieje. Młynarz już nie spał. Wołał na ludzi i wydawał im rozporządzenia.

— Ja cały dzień nie będę w domu — powiedział.

— Na dworze było jeszcze szarawo, wysunąłem się więc niespostrzeżony za nim z postanowieniem, że odbiorę mu worek z pieniędzmi gdy będzie szedł samotną ścieżką do przystanku dyliżansu.

Tu głos jego stał się ponury i groźny.

— Nie byłem pewny czy go zabiję, lecz bądź co bądź potrzebowałem pieniędzy na podróż do Ameryki. Pieniądze są zawsze przyczyną wszystkiego na świecie.

Westchnął ciężko.

— Szedłem za nim kilkaset kroków kryjąc się w wysokiej trzcinie, nareszcie powiedziałem sobie: teraz lub nigdy i rzuciwszy się na niego z tyłu wpakowałem mu nóż pod łopatkę. Upadł ciężko jak kłoda, ani pisnął nawet... Zrewidowałem mu kieszenie ale nie znalazłem w nich ani grosza. Stary z pewnością udawał, że idzie do San-Arturo, chciał się wrócić ukradkiem aby szpiegować swoją żonę gdy będzie romansować z kochankiem. Następnie zakopałem nóż pod drzewem. Mogłem go był rzucić do rzeki lecz ludzie mówią, że narzędzie, którem się zabiło człowieka pływa zawsze po powierzchni wody. Znajdziecie ten nóż pod wielką topolą zwaną drzewem wielkiego księcia. Na ostrzu noża pozostało kilka kropel krwi lecz niewiele, krwotok był wewnętrzny dla tego, że zadałem mu raz silny. Byłem chłopcem u rzeźnika i nieraz zabijałem woły, znam się więc na tem... Skoro się przekonałem, że stary skąpiec nie ma przy sobie pieniędzy byłbym go z rozkoszą zabił powtórnie. Raz jeszcze powtarzam, że on tylko chciał złapać żonę na schadzce z Melegarim. Kochał stary pieniądze, ale jeszcze bardziej żonę. Obróciłem go twarzą ku ziemi i odszedłem. Wróciwszy do młyna pracowałem aż do chwili w której dano znać iż młynarz zabity; wtedy rzuciłem robotę i poszedłem gapić się z drugimi. Już skończyłem.

Człowiek wypowiadający te straszne słowa był zimny i spokojny; ksiądz słuchał go blady z przerażenia i wstrętu; usta drżały mu jak w febrze.

— Ależ jego żona jęczy w więzieniu! Mogą ją skazać jako zbrodniarkę! zawołał Gesualdo w najwyższej rozpaczy.

— Wiem o tem, odparł Gizellone obojętnie. Ale wy nie możecie mnie zdradzić, tajemnicę powierzyłem wam przecie na spowiedzi.

Miał słuszność. Cokolwiek bądź by się stało, Gesualdo nie mógł wyznać prawdy. W głowie mu się mąciło, oczy miał jak obłąkane, serce szarpała okrutna boleść.

Całe jego życie było dotąd prostotą i uczciwością, wiedział, że są zbrodnie na świecie lecz nigdy nie przypatrzył im się zblizka; wiedział że ludzie grzeszą lecz grzechu nie rozumiał.

Pewność że zabójca Tassa Tassila był tuż obok niego, że słyszał głos jego, widział wzrok zwrócony na siebie i że dość mu było wyciągnąć rękę aby go uchwycić, a jednak nie mógł tego uczynić, pe-

ność ta i bezsilność zarazem przygniatała go jak straszny jakiś ciężar.

Obowiązek nie pozwalał mu uratować niewinnej kobiety! Ukląkł w konfesyonale chcąc zebrać bezładnie wirujące myśli, lecz zaćmiło mu się w oczach i upadł zemdlony na ziemię.

Gdy odbywał nowicyat przełożony mówiąc nieraz, iż Gesualdo nie ma sił odpowiednich do walki z życiem, miał zupełnie słuszność.

Skoro odzyskał przytomność a z nią pamięć i świadomość, cisza i ciemność zalegały kościół. Człowiek który wyspowiadał się ze swej zbrodni, znikł już bez śladu.

Gesualdo usiadł na drewnianej ławeczce i usiłował myśléć. Wstydził się swojej słabości. Jakto? on pasterz i przewodnik dusz ludzkich przerażał się ohydą zbrodni i mdlał jak kobieta niemając siły zagrozić występnemu słusznem potępieniem?

Czy był godzien piastować tak wysokie posłannictwo?

W pierwszej chwili chciał bieżyć wyspowiadać się ze swej słabości i błędu przed biskupem, lecz przypomniał sobie, że i to było mu wzbronione; przed nikim w świecie nie mógł wyjawić tej ohydnej tajemnicy.

Prawo, które nie szanuje niczego, nie uszanowałoby również tajemnicy spowiedzi; lecz żadne prawo ludzkie nie mogło go zwolnić od spełnienia obowiązku, który dobrowolnie przyjął na siebie.

Było już dobrze po północy gdy drżący chwiejnym krokiem wracał Gesualdo do plebanii. Candida usłyszawszy szmer na schodach, otworzyła drzwi swojej izdebki wołając:

— Gdzieżeście siedzieli do tej pory? Lampa wypala się napróżno i powiem waszej wielebności, że to nieprzyzwoicie aby ksiądz włóczył się po nocy.

— Ucisz się kobieto, rzekł Gesualdo tak dziwnym tonem, że Candida nie śmiała już ust otworzyć.

Zamknął się w swoim pokoju i z niecierpliwością oczekiwał rana. Chwilami lękał się światłości dziennej.

Dzień nie przyniósł mu pożądanego spokoju; oczyma duszy widział dach pod którym mieszkał morderca, którego jednak niewolno mu było oddać w ręce sprawiedliwości. Zajęcia swoje spełniał jak automat.

Ceglana posadzka, stół gdzie Candida postawiła chleb i kawę, kamień pod studnią na którym stara sługa płukała sałatę, starcy co przychodzili opowiadać swoją biedę i prosić o radę, promienie słońca igrające na progu, kury grzebiące na podwórku, wszystkie te tysiączne drobnostki codziennego życia, ukazywały mu się jakby we śnie lub we mgle oddalenia.

Ten skromny domek ocieniony cyprysami w którym zdawało mu się, że dokona spokojnego żywota, teraz wydał mu się więzieniem gdzie serce jego obumierało z boleści, z upragnieniem wyglądając śmierci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Nowy Thersites farsa w 2 aktach przez Franciszka Mielnickiego. Występy panny Kirszensteinówny.

Pan Jakób, obywatel wiejski lubi w wolnych od zajęć gospodarskich chwilach, pisać komedye nigdzie naturalnie nie grywane; kochająca zaś szczerze swego męża Anna, pragnąc mu sprawić na imieniny niespodziankę, urządza przedstawienie jednej z jego sztuk. Otóż pewnego dnia, gdy prióbuje niektórych scen pomienionego utworu, wraz z kuzynem Bolesławem, niejaki Feinerkopf zbogacony żyd, przyjechawszy za jakimsić pieniężnym interesem do sąsiada, staje się mimowolnym świadkiem owej próby. Pomimo posiadanego nazwiska jakie w niemieckim języku oznacza tęgi łeb, bierze fikcyą za rzeczywistość i idąc śladem swego poprzednika Thersitesa, oskarża przed panem Jakóbem żonę. Obrażony a nazbyt łatwowierny obywatel, szuka niby starożytny Achilles zemsty na osobie uwodziciela; daleki jednak od powzięcia krwawych zamiarów, postanawia prozaicznie rzecz całą zakończyć. W tym celu poleca swemu ekonomowi, ażeby przy pomocy tęgich parobków wyliczył mniemanemu adonisowi odlewanych czterdzieści. Już byliśmy w wielkiej obawie, aby nie ucierpiała niewinność, gdy na szczęście losy przeznaczenia, które pomimo znanego przysłowia, niebywają nigdy niesprawiedliwemi w utworach dramatycznych, sprawiły, iż owa sroga kara spotkała oszczercę. Pan to Feinerkopf albowiem, sam w zastawione sidła wpadłszy, otrzymuje razy jakie spaść miały na plecy krewniaka pięknej Anny.

W tej drugiej próbce swych autorskich zdolności (pierwszą była farsa p.t. „Swaty na parkanie”) pan Franciszek Mielnicki dowiódł pewnych humorystycznych zdolności, jakoteż łatwego scenizowania, postacie jednak wprowadzonych przez niego osób mają charaktery nazbyt ogólne i są skreślone szablonowo. Wprawdzie w farsie, której jedynym celem pobudzić do śmiechu, trudno wymagać zbyt szczegółowych określeń, zawsze jednak wszystkie figury, szczególniej męża, żony i krewniaka, niczem prawie nie różnią się od znanych powszechnie typów. Epizodyczna postać Andrzeja ekonoma, najlepiej wyszła skutkiem może wybornej gry pana Galasiewicza; inni artyści oddali swoje role miękko i bezbarwnie, a pan Żyburski spóźnił się nawet o kilka minut w czasie pierwszego przedstawienia z wejściem na scenę.

Autora publiczność przyjęła dość życzliwie, a przyjęcie to byłoby może jeszcze więcej serdecznem, gdyby tego wieczoru nie został naznaczony debiut aspirantki do operetkowych przedstawień w Offenbachowskim „Bębnie”.

Wiadomo powszechnie, iż panna Kirszensteinówna posiada wyjątkowy dar sprowadzania tłumów na swoje występy. Czy ten wyrok jest skutkiem jej talentu, czyli też rozgałęzionych stosunków, należy do tajemnic zakulisowych, których nam rozbierać niewolno; w każdym razie zaledwie afisz ogłosi nazwisko debiutantki, wszystkie miejsca w teatrzyku bywają zapełnione hałaśliwą publicznością, niedozwalającą spokojnemu widzowi śledzić za biegiem akcyi sztuk dodanych do wypełnienia widowiska. W tym samym byliśmy kłopocie na pierwszym przedstawieniu „Nowego Thersitesa”. Siedząc w drugim rzędzie krzeseł, mieliśmy przed sobą dwóch młodzieńców, którzy począwszy od podniesienia kortyny, aż do ostatniej sceny premiery, prowadzili głośną rozmowę o spodziewanych tryumfach operetkowej śpiewaczki, tak, że zaledwie jęki wydawane za kulisami przez Feinerkopfa w czasie trwania bolesnej operacyi, dolatywały naszych uszów. Szczęście, że pamiętamy ten utwór ze scen ogródkowych, inaczej trudnoby nam było spełnić zadanie sprawozdawcy.

Kiedy już mowa o pannie Kirszenstejnównie, należy wyrazić swe zdanie o jej... talencie.

Adeptka wokalnej sztuki posiada wyborną dykcyę, gdy wygłasza prozę bez muzyki. Umie chodzić po scenie swobodnie, ruchy ma dość naturalne choć za ostre, nieestetyczne, pewność siebie niezwykłą, nadmierną, niemal rażącą, lecz co się tycze głosu, to ten wiele, bardzo wiele pozostawia do życzenia. Znać tam studya, znać pracę, najusilniejsza jednak nauka nie wynagrodzi braku darów natury. Głos panny Kirszensteinówny w wysokich tonach jest piskliwy, w nizkich chrapowaty, medium zaś prawie jakby nie istniało. Z podobnego materyału nawet przy wyższych zdolnościach aktorskich, nie podobna być Gilettą, Bettiną lub Bertą; oklaski zaś, przywoływania i wszelkiego rodzaju owacye, chociaż dowodzą, iż sięgająca po laury wokalne aspirantka ma wielu życzliwych, nie dają jej prawa do zastępowania nieobecnej pani Zimajer, lub nawet etatowej śpiewaczki teatru Małego, pani Święckiej lub Fillebornowej.

Ludwik Niemojowski.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Ostatnie dnie przedświąteczne Warszawianie spędzili w pobożnem jak zwykle skupieniu ducha, oderwanego od spraw ziemskiego padołu. Świątynie roiły się tłumami pobożnych, rozbrzmiewały hymnami chórów i utworami natchnionej muzyki.

W pierwszy dzień świąteczny starym obyczajem, przy tradycyjnej zastawie obdarzono się nawzajem życzeniami wszelkich pomyślności, niezapomniano i o śmigusie podobno pochodzącym aż z czasów pogańskich, ale pamiętano także i o biednych.

Otóż pan Stanisław Pfejfer, rozdał traktament świąteczny trzystu biedakom, młode panny zamożnych domów dla dwudziestu biednych rodzin urządziły dostatnie i zupełne święcone, Towarzystwo dobroczynności także o ubóstwie nie zapomniało, w ochronkach sierotki również pominięte nie zostały, a jeden z tutejszych kupców wskutek prośby swej zamężnej niedawno córki, wysłał do Hamburga kompletne święcone z przesyłką kosztujące przeszło dwieście rubli.

Przed samemi prawie świętami niejaka K. M. pełniąca od czterech lat w domu państwa R. obowiązki kucharki, ku wielkiemu zdumieniu swoich pracodawców, została w drodze spadku dziedziczką poważnego majątku, który wynosi kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Dopiero z wiadomością o sukcesyi wyszła na jaw niezwykła przeszłość eks-kucharki, trzymana przez nią w zupełnej tajemnicy.

Dzielna to jest kobieta w całem znaczeniu tego wyrazu.

Jako córka dość majętnych rodziców, otrzymała staranne wychowanie i wyszła zamąż za właściciela dóbr w gubernii wileńskiej.

Małżonek, prowadzący życie hulaszcze, stracił nietylko swój majątek, ale i posag żony, zostawiając w chwili zgonu wdowę z dwojgiem dzieci bez żadnego funduszu.

Nieszczęśliwa kobieta przechodziła w ciągu kilku lat straszne koleje losu, zwłaszcza, iż krewni odmówili pomocy.

Śmierć dzieci do reszty przygnębiła K. M., próbującą rozmaitych zajęć, począwszy od nauczycielstwa, a skończywszy na szyciu bielizny.

Pokazało się, że pedagogicznego uzdolnienia wcale nie posiada, a szyć z powodu osłabienia wzroku nie mogła.

Trzeba więc było pracować inaczej i K. M. swoje wiadomości kulinarne, z amatorstwa niegdyś nabyte, postanowiła zużytkować w kierunku praktycznym, zostając kucharką.

Natrafiwszy na dobrych pracodawców, K. M. przesłużyła u nich cztery lata, zachowując ścisłe *incognito*, aż nareszcie śmierć bezdzietnego i jedynego brata powróciła ją do dawnej sfery.

Zbolała matka, żyjąca tylko wspomnieniami zmarłych dzieci, dość obojętnie przyjęła tę zmianę losu.

Pan R. zajął się bezinteresownie uregulowaniem formalności spadkowych.

Jako charakterystyczny przyczynek winniśmy dodać, że liczni krewni, którzy nawet nie zapytywali się o M., czy żyje i co porabia, teraz zasypują ją listami, a dwaj siostrzeńcy umyślnie dla odwiedzenia cioci przybyli do Warszawy.

Dwa samobójstwa i pięć zamachów samobójczych zdarzyły się w Warszawie w ciągu ostatnich dwóch dni zaprzeszłego tygodnia. Pierwszy wypadek samobójstwa wydarzył się w gmachu szkoły technicznej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie uczeń tejże szkoły, 19 lat liczący, Waleryan Francow, wystrzałem z rewolweru, skierowanym w skroń usiłował odebrać sobie życie. Francowa odwieziono do szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie na drugi dzień życie zakończył. Przyczyną samobójstwa było podobno otrzymanie złego stopnia z fizyki. W daleko okropniejszy sposób pozbawił się życia 60-letni starzec Sawelij Duda, służący, który dowiedziawszy się, że jego pan ma zamiar odesłać go do szpitala na kuracyę z powodu słabości, pochwycił za nóż i poderżnął sobie gardło a następnie brzuch rozpruł. Śmierć nastąpiła natychmiast. Wreszcie zamachów samobójczych dokonali na sobie: Barabanow, przybyły z Mławy i chwilowo zamieszkały w hotelu Krakowskim, który sztyletem zadał sobie cios w lewy bok, lecz w porę był uratowany. Dalej Stanisław Niewęgłowski, uczeń ogrodniczy, 18 lat wieku, który w celu odebrania sobie życia wypił odwar z narkotyku, lecz środki lekarskie zapobiegły jego śmierci. Trzeci z kolei wypadek zaszedł w zajeździe Płockim; poddany austryacki, Maurycy Sonthal, w oczach numerowego usiłował pozbawić się życia wystrzałem z rewolweru. Samobójstwa wszakże nie dopuszczono. Wreszcie na Krakowskiem Przedmieściu dymisyonowany pułkownik, Jan Asłanowicz, w zamiarze odebrania życia, zadał sobie nożyczkami cztery rany w lewy bok. Stan zdrowia jest groźny. W końcu tej smutnej kroniki zanotujemy, że robotnik z fabryki żelaznej Rudzkiego, August Marajew, wypił całą szklankę alkoholu, wyszedłszy z domu na dziedziniec. Spostrzeżono go leżącego na bruku bez przytomności i środkami lekarskiemi przywrócono do życia.

Inicyator osławionego konkursu piękności nie daje za wygranę, lecz wytrwale krząta się około doprowadzenia go do skutku.

Kilka tygodni temu wspominaliśmy, iż p. *** rozesłał do kilkunastu pań listy, zapytujące, czy raczą stanąć do walki o... urodę!

Jak było do przewidzenia na 50 listów, 46 adresantek wcale nie odpowiedziało, a autorki pozostałych czterech zarzuciły inicyatorowi... pewien rozstój umysłowy, dołączając prośbę, aby w przyszłości listów z podobnemi propozycyami nie nadsyłał.

W obec takiego obrotu, p. *** postanowił inną drogą urzeczywistnić swój konkurs, a mianowicie oceniać piękności z... fotografii.

Od kilku dni już kupuje on fotografie różnych pań, a zebrawszy ich potrzebną kolekcyę, przystąpi wraz z wybranym „sądem" do oceny!

O śnieżycy w Nowym Yorku, o której pisaliśmy, przynoszą dzienniki zagraniczne coraz nowe szczegóły. Obserwatorya meteorologiczne wykazały, że szybkość wiatru wynosiła 16 mil na godzinę. Nazajutrz po burzy ulice nowoyorskie pokryte były śniegiem na kilka stóp wysokości. Z niektórych domów wydostać się można było jedynie, przekopawszy tunel w masach śniegu. Dorożki kazały sobie płacić po 30 do 50 dolarów za kurs, a dalszych kursów nie chciały robić wcale. Towarzystwo telegraficzne oblicza szkody, spowodowane zerwaniem drutów i obaleniem słupów na milion dolarów.

W Tyrolu południowym nieopodal Bozen, w chwili, gdy o 3-ej rano przejeżdżał pociąg z Innsbrucku oberwała się skała mająca 25 metrów szerokości. Trzydzieści kilka wagonów wraz z maszyną zostało zdruzgotanych i cudem jakimś tylko cała służba pociągowa uszła z życiem. Przez kilka dni z rzędu setki robotników pracowały nad oczyszczeniem toru. Ze wszystkich prawie stron południowego Tyrolu nadchodzą najsmutniejsze wiadomości o strasznych spustoszeniach, zrządzonych przez lawiny i obrywanie się skał, wciągu ostatnich kilku tygodni. Dziesiątki miejsowości uległy bądź całkowitemu, bądź częściowemu zniszczeniu, a przeszło 70 osób postradało życie. W Bozen i Meran do niedawna jeszcze wszystkie drogi i ścieżki były zasypane śniegiem, a biedni merańscy kuracyusze mogli przypuścić, że są raczej u bieguna północnego, niż w tak zwanej miejscowości klimatycznej.

Straszna katastrofa miała znów miejsce w Hiszpanii w Oporto. W teatrze Baquet podczas ostatniego aktu zaczęła się palić na strychu lina, a trzymający ją maszynista obciął płonący kawałek, który spadł na scenę, zapalając kulisę. Aktor jakiś wpadł na scenę, pochwycił swoją córkę, grającą w tej chwili i nieopatrznie rzucił do widowni okrzyk. „Niech się ratuje kto może!" Oczywiście powtórzyły się opisywane tylokrotnie sceny pełne grozy. Położenie tłoczących się do wyjścia widzów w panicznym przestrachu, było o tyle straśniejsze, że zastali drzwi pozamykane. Siedzący w loży nie mogli się wydostać, albowiem były zabarykadowane od zewnątrz stosami ludzi, toczących zaciętą walkę o śmierć i życie. Setki osób wyskakiwały oknem, gdyż straż ogniowa nie miała na miejscu żadnych aparatów ratunkowych, tak że jedno ciało ludzkie spadało za drugiem, ponosząc śmierć na miejscu lub otrzymując śmiertelne obrażenia. Aktorzy w większej części popalili się lub podusili; ten, który chciał najpierw ratować swoją córkę, znaleziony został wraz z nią w objęciach, spalony na węgiel. Znaleziono w gruzach już przeszło 140 ofiar, z których znaczna część zmiażdżona stopami innych lub poraniona i pokąsana w przedśmiertnej walce. W Lizbonie niezwłocznie zamknięto na rozkaz królewski wszystkie teatra.

Od czasu gdy córy nowego świata walczą o równouprawnienie polityczne, postanowiły także brać jak najczynniejszy udział w agitacyach wyborczych. Mieszkanki Greensburg w Pensylwanii utworzyły obecnie klub Clevelanda, aby przy najbliższym wyborze prezydenta z większem powodzeniem módz działać na rzecz kandydatury Clevelanda. Członkinie owego klubu przygotowują dla siebie bardzo gustowne mundury, i pobierać będą od fechmistrzów lekcye robienia bronią i noszenia pochodni podczas korowodów politycznych. Stowarzyszenia takie utworzyły się w różnych innych stronach prowincyi, a urodziwe Amerykanki żywią przekonanie, iż serca ich przeciwników politycznych, nie pozostaną nieczułe na podobną agitacyę.

W Waszyngtonie umarł w podeszłym wieku bankier William Wilson Corcoran, jeden z największych dobroczyńców obecnych czasów. Oto główniejsze czyny zmarłego: urządził cmentarz w Georgtown i podarował go miastu; urządzenie cmentarza kosztowało 120,000 dolarów. Założył galeryę swego imienia i wydał na nią 300,000 dolarów, oprócz tego na utrzymanie galeryi przeznaczył w testamencie milion dolarów. Po wojnie oddał swój kosztowny zbior galeryi sztuk pięknych, założył t. zw. „Luisenheimath", zakład w którem wykształcone a ubogie kobiety znajdują przytułek. Dla tego zakładu ofiarował 500,000 dolarów. Pozostawił znaczne kwoty dla instytutu sierot w Waszyngtonie, wszechnicy w Kolumbii i t. p. Akademii w Wirginii ofiarował 200,000 dolarów i bibliotekę, składającą się z 4,000 tomów.

Najnowsze paryzkie kapelusze wiosenne są naśladowaniem zwyczajnych doniczek z kwiatami. Forma kapelusza robi się z tiulu lub słomy zwykłego brunatnego koloru i napełnia się kwiatami wysoko sterczącemi i mchem, zamiast ziemi. W tych dniach pewna młoda księżna odbywała po lasku Bulońskim przejażdżkę w kapeluszu doniczkowym z fiołkami, a powóz jej minął się z ekwipażem śpiewaczki Granier, która przybrała głowę swoją w tiulową doniczkę z konwalią. Jeżeli się ta moda rozpowszechni, korso kwiatowe stanie się zbytecznem. Dopóki kwitną drobne kwiaty to jeszcze pół biedy, gdy jednak przyjdzie pora słoneczników lub georginii, a elegantki zechcą swoje kapelusze doniczkowe sztucznemi sezonowemi kwiatami napełnić, nowa moda stanie się dopiero ciekawą.

Rząd francuzki ogłosił niedawno, iż poszukuje 100 dziewcząt, któreby zechciały zostać małżonkami wychodźców, zamieszkujących wyspę nieopodal Numei; otrzymają one pieniądze na koszta podróży, a oprócz tego po 100 fr. Kandydatki w oznaczonej liczbie znalazły się niebawem i wkrótce odbędą wspólnie podróż. Narzeczone wybrane zostały z uwzględnieniem potrzeb kolonii, są więc między niemi nauczycielki, modniarki i t. p.

Król krawców, słynny Worth w Paryżu, wypytywany w tych dniach przez jednego z reporterów, oświadczył mu między innemi w rozmowie, iż najlepiej obsługuje te damy, które mu same pozostawiają wolny wybór tualet. Wszystkie obstalunki muszą być robione na tydzień przed termi-

nem wykończenia sukni, chociaż w nagłym wypadku może Worth zrobić suknię w przeciągu 24 godzin, byle tylko nie haftowaną, która wymaga więcej czasu. Gdy reporter zarzucił Worthowi wysokie ceny, słynny krawiec odparł, iż powodem tego są kosztowne dodatki wymagane przez jego klientki. I tak niedawno zrobił dla pewnej bogatej dziedziczki z Peru, okrycie za 120,000 fr. przy którem same koronki kosztowały 118,000 fr. i płaszcz za 45,000 fr., obszyty i podbity futrem kosztującem 44,000 fr. Wreszcie wyznał Worth, że śród jego klientek znajdują się panie wszystkich dworów świata cywilizowanego, z wyjątkiem władczyni jego ojczyzny, królowej Wiktoryi, która go dotąd nigdy nie zaszczyciła żadnym obstalunkiem. Worth jest z powołania pejzażystą.

— Podobno pan X. tak gorliwie udający młodego, posiada bardzo wiele starożytnych dowodów pochodzenia swego rodu.

— Jak wiele ich posiada tego nie wiem, ale znam jeden jego dowód dość starożytny... metrykę urodzenia.

* * *

W czasie przyjęcia pielgrzymów francuzkich przez Papieża dzisiejszego, jeden z dygnitarzy rzekł:

— We Francyi tyle się spotyka przeciwieństw jak nigdzie. Ma np. rzeczpospolitę nieprzyjmującą oznak honorowych i tytułów, a nie ma jednego nawet francuza, coby nie pragnął przyczepki *de* przed nazwiskiem a na piersi choć kwiatka naśladującego wstążkę od orderu legii honorowej. Pałac prezydenta nazywa się rajem (Elisee) w który Francya nie wierzy. Pałac senatu ma nazwisko miasta, którego Francya nie posiada (Luxemburg), a pałac przedstawicieli całego narodu zwany jest, Palais Bourbon, nazwą dynastyi, której nie pragnie.

* * *

Z humorystycznego słownika. Fatalność. Przyczyna wszystkich błędów, popełnianych przez kobiety.

* * *

Dowcip kupiecki. W tych czasach w Wiedniu na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia w operze, wielu bogatych młodych ludzi otrzymało woniejące bileciki, w których wyznaczono im *rendez-vous* w operze. Każdy bilecik pisany był ręką kobiecą. Nieznana autorka listu zastrzegała, że jeśli adresant ma chęć porozumieć się z nią osobiście, ma na znak zgody pojawić się na przedstawieniu z charakterystycznym bukiecikiem sztucznych kwiatów w butonierce, które znajdują się w składzie X. Owego wieczoru pojawiło się w sali teatralnej ze cztery tuziny młodzieńców z bukiecikami na klapie surduta, ale oczekiwali napróżno: żadna z dam obecnych w teatrze nie okazała chęci porozumienia się z udekorowanymi, magazyn jednak w tym dniu sporo utargował.

RÓŻNE MYŚLI.

Nie jest jeszcze ten małym, kto mniejszy od wielkiego.

Boiste.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Piątce z plusem. Słuszna uwaga, ale objaśnienie dać tylko może sam autor, którego nazwiska nie znamy. Zdaje się tylko, że pod N. 9 mieści się obietnica korzyści z wypełnienia dobrej rady, pod N. 10 zaś przypomnienie ojca jej ważności, co razem stanowić może przykaz, spełniania tego co rozumni zalecają.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Марта 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.